



CREATION ONEIROS

CRAWLING CHAOS
PEŁZAJĄCY CHAOS

H P LOVECRAFT

H.P. LOVECRAFT

PEŁZAJĄCY CHAOS

(THE CRAWLING CHAOS)





PEŁZAJĄCY CHAOS

Wiele napisano o rozkoszach i bólu wywołanych przez opium. Ekstaza i zgroza de Quinceya oraz Paradis artificiels Baudelaire'a zostały zachowane i przedstawione w dramacie, który czyni je nieśmiertelnymi. Świat zna doskonale piękno, grozę i tajemnice owych mrocznych krain, do których przenosi się uniesiony inspiracją marzyciel. Mimo, że tak wiele zostało powiedziane, nikt jak dotąd nie odważył się jednak zgłębić natury wizji ujawnionych w ten sposób umysłowi ani doszukać się kierunku, w jakim podążają niewiarygodne drogi otwierające się przed człowiekiem, który zażywa narkotyki. De Quincey przeniesiony został do Azji, owej tętniącej życiem krainy posepnych cieni, starożytnych, upiornych i tak imponujących, że "sam wiek i nazwa tej rasy zabija w człowieku wszelką młodość"; dalej wszakże podążać już się nie odważył. Z tych, którzy dotarli dalej, mało kto powrócił, a i ci oniemieli ze zgrozy lub też stracili zmysły. Ja wziąłem opium tylko raz, w roku plagi, kiedy lekarze poszukiwali sposobów na ukojenie bólu tych, których nie potrafili uleczyć. Opium przedawkowano. Mój lekarz był przerażony, a ja dotarłem naprawdę daleko. Ostatecznie powróciłem i zachowałem życie, lecz moje noce przepełniają osobliwe wspomnienia, a lekarzowi zabroniłem podawać mi jeszcze kiedykolwiek opium.

Ból i pulsowanie w mojej czaszce, kiedy wstrzyknięto mi narkotyk, były wręcz nie do wytrzymania. Nie myślałem o przyszłości, nie obchodziła mnie, chciałem uciec, nieważne jak, czy to przez uzdrowienie, utratę przytomności, czy śmierć. Trochę majaczyłem, więc trudno mi określić

dokładną chwilę przejścia, ale wydaje mi się, iż musiało ono nastąpić na krótko przed ustąpieniem bolesnego pulsowania. Jak wspomniałem, z powodu przedawkowania moje reakcje były prawdopodobnie dalekie od normalnych. Wrażenie spadania, dziwnie oderwane od pojęcia siły ciężkości czy kierunku, było niewiarygodne; widziałem ledwo wyraźnie niezliczone tłumy, tłumy nieskończenie odmiennej natury, ale w większym lub mniejszym stopniu ze mną powiązane.

Czasami miałem wrażenie, że nie tyle spadam, ile raczej cały wszechświat albo ery przemykają obok mnie. Nagle ból minął i począłem kojarzyć pulsowanie bardziej z zewnętrznym niż wewnętrznym źródłem. Opadanie ustało, ustępując miejsca wrażeniu niepewnego, chwilowego spokoju, a gdy wyteżyłem słuch, wyobraziłem sobie, że owo pulsowanie kojarzy się z przeogromnym, niezmiernym morzem, którego złowieszcze, kolosalne fale rozbryzgują się o pusty, posępny brzeg po gigantycznym sztormie.

Otworzyłem oczy.

Przez chwilę wokół mnie panował chaos, nie potrafiłem uchwycić wszystkiego wyraźnie, stopniowo jednak uświadomiłem sobie, iż byłem sam w dziwnym, acz uroczym pokoju, do którego przez liczne okna wpadało światło. Nie potrafiłem go określić wyraźnie, gdyż ciągle byłem rozkojarzony, ale dostrzegłem różnobarwne kobierce i draperie, ozdobnie rzeźbione stoliki, krzesła, otomany i kanapy, a także delikatne wazy i ornamenty o egzotycznym, choć niezupełnie obcym wzorze. To wszystko zauważyłem, niemniej rzeczy te nie na długo zaprzątnęły mój umysł. Wolno, acz nieubłagane mą świadomość zaczął zajmować i górować nad innymi emocjami oszalamiający strach przed nieznanym, strach tym większy, że nie potrafiłem dociec jego przyczyn. Kojarzył mi się z nadciągającym niechybnie zagrożeniem, nie, nie śmiercią, lecz czymś

nienazwanym, nie wyjaśnionym, a co za tym idzie, bardziej upiornym i odrażającym niż wszystko inne.

Wreszcie zdałem sobie sprawę, że bezpośrednią przyczyną mych lęków było upiorne dudnienie, pulsowanie, rozbrzmiewające przyprawiającym o utratę zmysłów rytmem wewnątrz mego wyczerpanego mózgu. Zdawało się ono dochodzić z jakiegoś miejsca spoza pomieszczenia, gdzie się znajdowałem, a skojarzenia, jakie mi się w związku z nim nasuwały, mroziły krew w żyłach. Czułem, że coś przeraźliwego czaiło się za obwieszonymi jedwabiem ścianami, i wzbraniałem się przed wyjrzeniem przez jedno z łukowatych, żebrowanych okien, których w pokoju nie brakło. Dostrzegłszy przy nich okiennice, pozamykałem je niezwłocznie, mrużąc przy tym powieki, by nie wyjrzeć na zewnątrz. Następnie posługując się krzemieniem i stalą, znalezionymi na jednym z niewielkich stolików, pozapalałem świece umieszczone w arabeskowych obsadach na ścianach. Zamknięcie okiennic przyniosło mi ulgę i poczucie bezpieczeństwa, a sztuczne światło do pewnego stopnia uspokoiło me nerwy, choć nie udało mi się zagłuszyć monotonnego, pulsującego dudnienia. Teraz, gdy byłem nieco spokojniejszy, dźwięk stał się tyleż fascynujący co przeraźliwy, i dręczyło mnie, sprzeczne z uczuciem niepokoju, pragnienie ujrzenia źródła owego dźwięku. Otworzywszy portierę znajdującą się w tej ścianie pokoju, zza której najgłośniej było słyszeć uporczywy dźwięk, ujrzałem niewielki, bogato zdobiony korytarz kończący się rzeźbionymi drzwiami i potężnym wykuszowym oknem. Ku niemu coś mnie nieodparcie ciągnęło, choć niesprecyzowane obawy równie mocno mnie przed tym powstrzymywały. Kiedy podszedłem bliżej, ujrzałem w oddali chaotycznie wirującą wodę. Skoro tylko stanąłem przy oknie i rozejrzałem się wokoło, zobaczyłem coś, co zaatakowało me zmysły z niepoohamowaną, niszczycielską mocą.

Ujrzałem coś, czego nie widziałem nigdy przedtem i czego nie ogląda nikt spośród żyjących, z wyjątkiem deliryków cierpiących w malignie lub opiumowym piekle. Budynek stał na wąskim cyplu lub czymś, co się nim wydawało, pełne trzysta stóp ponad rozszalałymi falami wodnego wiru. Po obu stronach budynku opadały w dół pionowe, obmyte wodą ściany czerwonej ziemi, a przede mną upiorne fale przetaczały się bez końca, z przeraźliwą mocą zalewając ląd z mroczną, demoniczną monotonią i rozważą. Mniej więcej o milę dalej wznosiły się i opadały groźne bałwany fal o wysokości pięćdziesięciu stóp, a na horyzoncie majaczyły jak padlinożerne sępy niepokojące czarne chmury o groteskowych konturach. Fale były ciemnofioletowe, prawie czarne; chwyciły miękkie czerwone błocko brzegów i pochłaniały je niczym nieczyste, chciwe dłonie. Miałem przeczucie, jakby jakiś złowieszczy morski umysł wypowiadał wojnę wszystkim lądom świata i być może wspomagało go w tej walce zagniewane niebo.

Ocknąwszy się w końcu z odrętwienia wywołanego tym nienaturalnym widokiem, zrozumiałem, że naprawdę groziło mi niebezpieczeństwo. Na moich oczach zniesiony został wielostopowej długości fragment brzegu i wiedziałem, że już niebawem cały dom runie w żarłoczną czeluść nienasyconych fal. Niezwłocznie pospieszyłem w przeciwną stronę i znalazłszy drzwi, wyszedłem przez nie natychmiast, zamykając je za sobą dziwnym kluczem, który tkwił w zamku. Ujrzałem teraz więcej szczegółów miejsca, w którym się znalazłem, i zwróciłem uwagę na dziwny rozdział, istniejący najwyraźniej w głębinach wrogiego oceanu i na firmamencie. Po obu stronach cypla panowały zupełnie odmienne warunki. Po lewej, stojąc zwrócony w stronę lądu, miałem łagodne morze z wielkimi zielonymi falami przetaczającymi się spokojnie w jasnych promieniach słońca. Coś w jego naturze i wyglądzie sprawiło, że aż

zadrzałem, ale ani wówczas, ani teraz nie potrafię stwierdzić, co to było. Po prawej również miałem morze, było ono jednak błękitne, spokojne i falowało niemal niezauważalnie, podczas gdy niebo ponad nim wyglądało na ciemniejsze, a wymyty brzeg był biały.

Teraz zwróciłem uwagę na ląd i znowu się zdumiałem, roślinność bowiem nie przypominała żadnej, jaką kiedykolwiek widziałem czy o której czytałem. Była to najwyraźniej roślinność tropikalna lub subtropikalna, wniosek taki nasunął mi panujący w powietrzu żar. Czasami wydawało mi się, że dostrzegam dziwne podobieństwo z florą mego rodzinnego kraju, wyobrażając sobie, iż doskonale znane rośliny i krzewy mogły przyjąć takie formy pod wpływem bardzo dużych zmian klimatycznych, lecz gigantyczne i wszechobecne palmy wyglądały zupełnie obco. Dom, który właśnie opuściłem, był bardzo mały, prawie jak domek plażowy, tyle że zbudowany z marmuru, a jego kształt, dziwny i zwarty, wyglądał jak niespotykany zlepek form znanych na wschodzie i zachodzie. W rogach znajdowały się kolumny korynckie, ale czerwone gonty dachu były całkowicie przejęte z chińskiej pagody. Od drzwi w głąb lądu wiodła ścieżka nienaturalnie białego piasku, szerokości około czterech stóp i otoczona z dwóch stron strzelistymi palmami i nieznanymi, ukwieconymi krzewami i roślinnością. Biegła w kierunku tej strony cypla, gdzie morze było błękitne, a brzeg pełen białego piasku. Chciałem uciekać tą właśnie drogą, jakby z rozszalałego oceanu w pogoń za mną wyruszył jakiś złowieszczy upiór. Początkowo ścieżka pięła się pod górę, aż w końcu dotarłem do łagodnego grzbietu. Obejrzałem się za siebie, by dokładnie przyjrzeć się miejscu, które opuściłem; cypel z małym domkiem, czarna woda, zielone morze po jednej i błękitne z drugiej strony, a nad wszystkim tym – cień nienazwanej i niewysłowionej klątwy. Nigdy więcej tego nie zobaczyłem i zastanawiam się często...

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na to miejsce, zacząłem obserwować teren rozciągający się przede mną.

Ścieżka, jak już wspomniałem, biegła w głąb lądu, po prawej stronie brzegu. Przede mną i po lewej ujrzałem teraz wspaniałą dolinę o powierzchni tysięcy akrów, porośniętą tropikalną trawą sięgającą powyżej mojej głowy. Niemal na skraju mego pola widzenia znajdowała się gigantyczna palma, która fascynowała mnie i przyzywała. Do tej pory zdumienie i ucieczka z zagrożonego półwyspu w znacznym stopniu rozproszyły mój strach, kiedy jednak przystanąłem i osunąłem się zmęczony na ścieżkę, leniwie grzebiąc dłońmi w ciepłym, białozłotym piasku, ogarnęło mnie nowe, wyrazistsze uczucie zagrożenia.

Coś przerażającego wśród tych kołyszących się traw dołączyło do owego diabolicznie falującego morza i głośno, i niemal irracjonalnie zacząłem wykrzykiwać: – Tygrys? Tygrys? Czy to tygrys? Bestia? Bestia? Czy to Bestia, której się obawiam?

Powróciłem w myślach do starej, klasycznej opowieści o tygrysach, którą kiedyś czytałem – usiłowałem przypomnieć sobie autora, lecz bez powodzenia. I nagle, przerażony, przypomniałem sobie, że było to opowiadanie Rudyarda Kiplinga; nie przyszło mi do głowy, że uznanie go za starożytnego autora było, delikatnie mówiąc, groteskowe. Żałowałem, że nie mam przy sobie tomu z tym opowiadaniem, i nieomal zawróciłem w stronę skazanego na zagładę domku, gdzie, jak sądziłem, powinien się znajdować, kiedy przyplływ zdrowego rozsądku i cień palmy sprawiły, iż oprzytomniałem.

Nie mam pojęcia, czy nie zawróciłbym, gdyby nie fascynacja i zew palmy. Owo przyciąganie było teraz tak silne, że zszedłem ze ścieżki i zacząłem piąć się na czworakach w górę zbocza, pokonując strach przed trawami i węzami, które mogły żyć pośród nich.

Postanowiłem walczyć o życie i zdrowe zmysły tak długo, jak tylko będę w stanie, i stawić czoło zagrożeniom z morza i lądu, choć czasami obawiałem się, że poniosę sromotną klęskę. Wrażenie to nachodziło mnie pod wpływem przyprawiającego o szaleństwo szelestu traw i wciąż słyszalnego rytmicznego łoskotu fal. Od czasu do czasu przystawałem i przykładając dłoń do uszu, by choć na chwilę zagłuszyć odrażające dźwięki. Odnosiłem wrażenie, że minęły całe wieki, zanim w końcu doczołgałem się do gigantycznej palmy i padłem zdyszany w jej bezpiecznym cieniu.

I wtedy nastąpiła seria wypadków, które doprowadziły mnie na skraj ekstazy i grozy – wypadki, których wspomnienie budzi we mnie trwogę i których nie ośmielę się interpretować. Kiedy szybko wczołgałem się pod opadające nisko liście palmy, z góry, z gałęzi spadło nagle dziecko o wyjątkowej urodzie. Choć obszarpane i zakurzone, miało rysy fauna lub półboga i zdawało się promienieć blaskiem, który rozpraszał cienie panujące pod koroną drzewa. Dziecię uśmiechnęło się i wyciągnęło rękę, ale zanim zdążyło wstać i przemówić, w powietrzu rozległy się dźwięki niezwyklej melodii, dźwięki wysokie i niskie, zlewające się ze sobą i współgrające w eterycznej harmonii. Tymczasem słońce zaszło za horyzont i w świetle zmierzchu ujrzałem aureolę mlecznego światła okalającą główkę dziecka. I wówczas odezwało się do mnie dźwięcznym jak srebrzyste dzwonki głosem:

– Oto koniec. Zeszli z gwiazd pośród zmierzchu. Teraz jest już po wszystkim i będziemy wieść odtąd błogi żywot w Teloe za strumieniami arynuriańskimi.

Kiedy dziecko przemówiło, ujrzałem łagodną poświatę przebijającą między liśćmi palm i powstałem, by przywitać parę, będącą, jak wiedziałem, głównymi wykonawcami podziwianej przeze mnie pieśni.

Musiała to być boska para, takie bowiem piękno nie jest przymiotem śmiertelników. Ujęli mnie za ręce mówiąc:

– Pójdź, dziecię, usłyszałeś głosy, aleć wszystko dobrze się dzieje. W Teloe za Drogą Mleczną i strumieniami arynuriańskimi są miasta z bursztynu i chalcedonu. Na ich wielofasetowych kopułach migocą wizerunki starych i precudnych gwiazd. Pod mostami z kości słoniowej ciągną się rzeki płynnego złota, a po ich falach suną barki i łodzie rozkoszy zmierzające ku wielkiemu Cytharionowi Siedmiu Słońc. W Teloe i Cytharionie królują młodość, piękno i rozkosz, słychać tylko śmiech, pieśni i dźwięki lutni. Jeno bogowie zamieszkują w Teloe, mieście złotych rzek, ale i ty zamieszkasz pośród nich.

Kiedy tak słuchałem, oczarowany, uświadomiłem sobie nagle, że wokół mnie zaszła jakaś zmiana. Drzewo palmowe, które dotąd ocieniało me zmęczone ciało, znalazło się niespodzianie po lewej stronie i poniżej mnie. Najwyraźniej unosiłem się w powietrzu, w towarzystwie nie tylko osobliwego dziecka i świetlistej pary, ale również powiększającego się z każdą chwilą tłumu na wpół jaśniejących, ozdobionych laurami młodzieńców i dziewcząt z rozwianymi włosami i uśmiechniętymi twarzami. Powoli wznosiliśmy się razem, jak unoszeni wonną bryzą wiejącą nie z ziemi, lecz ze złocistej mgławicy, a dziecko wyszeptało mi do ucha, że muszę zawsze spoglądać w górę ku ścieżce światła, a nie wstecz, w stronę kuli, którą właśnie opuściłem. Młodzieńcy i dziewczęta zaintonowali teraz miódopłynne choriamby przy akompaniamencie lutni, a mnie ogarnął nagle spokój i uczucie szczęśliwości dużo głębsze, niż kiedykolwiek mógłbym sobie wyobrazić. Wtem pojedynczy dźwięk jak intruz zmienił me przeznaczenie i strzaskał opokę duszy. Poprzez porywające śpiewy i dźwięk intruzów, niczym drwiący, demoniczny asonans przebiło się płynące z otchłani poniżej odrażające, potworne w swojej ohydzie falowanie

oceanów. I kiedy wiadomość tych czarnych fal dotarła do mych uszu, zapomniałem o słowach dziecka i odwróciłem się, by ujrzeć obraz zagłady, której, jak mi się zdawało, uniknąłem. Hen, w dole zobaczyłem przeklętą ziemię, obracającą się nieprzerwanie i gniewnie, rozszalałe morze wdzierające się w dalekie, odludne brzegi i strumienie piany rozbryzgujące się o rozchwiane wieże opuszczonych miast. A w wieczornym blasku księżycy oczom moim ukazały się obrazy, których nigdy nie zdołam opisać, ale których nigdy nie zapomnę: pustynie trupiej gliny, dżungle ruin i ostatecznego upadku, gdzie niegdyś rozciągały się żyzne równiny zamieszkane przez mych ziomków, w miejscach zaś gdzie niegdyś wznosiły się strzeliste wieżycy moich przodków, szalały spiętrzone wody wzburzonego oceanu. Wokół bieguna północnego rozciągały się parujące, cuchnące moczary, buchające miazmatycznymi wyziewami i syczące pod wpływem ataków narastających stale fal, podnoszących się nieubłaganie ze wzburzonej głębiny. Nagle potężny huk rozdarł noc i w poprzek pustyni pojawiła się dymiąca szczelina. A czarny ocean wciąż pienił się i atakował zajadle, pożerając brzegi pustyni, podczas gdy rozpadlina w samym jej środku poszerzała się coraz bardziej.

Nie pozostało nic z wyjątkiem pustyni, a szalejący ocean pożerał suchy ląd, ogryzając jego brzegi.

Pomyślałem nagle, że nawet falujące morze zdało się obawiać czegoś, może tego, iż ciemni bogowie wnętrza ziemi są potężniejsi od złego bóstwa wód, ale nawet to go nie powstrzymało – pustynia zaś wycierpiała zbyt wiele ze strony tych koszmarnych fal, aby mogła im teraz pomóc. I tak ocean pochłoniął ostatni skrawek lądu, po czym wpłynął w głąb dymiącej szczeliny, oddając tym samym wszystko, co zdołał podbić. Znowu pojawił się suchy ląd, ukazując moim oczom wizje śmierci i rozkładu, a w miejscach, gdzie niegdyś królowało morze, ujawnione zostały mroczne

relikty z okresu, kiedy Czas był jeszcze młody, a bogowie nawet się jeszcze nie narodzili. Przed falami wznosiły się pokryte algami dobrze znane wieżyce. Księżyc złożył blade lilie światła na wymarłym Londynie i Paryżu, podnoszących się ze swego wodnego grobu, aby zostały uświęcone gwiazdnym pyłem. Potem podniosły się wieżyce i monolity, które również pokrywały wodorosty, ale tych nikt już nie pamiętał – przeraźliwe wieże i monolity lądów nie znanych człowiekowi.

Nie było już słychać szumu fal, a jedynie nieziemski krzyk i syk wód wlewających się w głąb szczeliny. Dym z niej bijący zastąpiła para, która, gęstniejąc, niemal zakryła cały świat. Okryła mi dłonie i twarz, a kiedy się rozejrzałem, aby sprawdzić, jak wpłynęła na mych towarzyszy, okazało się, iż wszyscy zniknęli.

Nagle wszystko się skończyło, a ja ocknąłem się na łóżku w szpitalu.

W ostatniej chwili zdołałem jednak dostrzec, usłyszeć i poczuć, kiedy kłęby pary z hadesowej czeluści zakryły w końcu przed moim wzrokiem całą kulę ziemską, jak bezmiar eterycznego firmamentu rozbrzmiał rykiem dojmującej agonii, wywołanej szaleńczym echem, od którego zatrzęsło się całe niebo. Stało się to w jednym, delirycznym rozbłysku i huku, pojedynczej oślepiającej, ogłuszającej zagładzie dymu i grzmotu, która obróciła w perzynę bladego księżyc, rozchodząc się na zewnątrz w kosmiczną próżnię. A kiedy dym się rozwiął, a ja oderwałem od owego widoku wzrok, by spojrzeć w stronę Ziemi, ujrzałem na tle zimnych, zabawnych gwiazd jedynie dogorywające słońce i blade, pogrążone w żałobie planety, na próżno poszukujące jednej ze swych sióstr.